Wytyczne projektu ustawy łowieckiej.

Pierwszą zasadą opracowywanego obecnie projektu Ustawy Łow. będzie *podział kraju na okręgi łowieckie.*

Okręgiem łowieckim będzie minimalna jednostka terenu, niezbędna do prawidłowej hodowli zwierzyny.

Sprawozdania za r. 1925 nadesłane przez starostwa z całej Polski w sprawie stanu zwierzyny, stwierdzają kategorycznie, iż na zbyt małych terenach łowieckich zwierzyny niema.

Drugą zasadą będzie *minimum dzierżawne — 6 lat.*

Sześć lat — to najmniejsza jednostka czasu, niezbędna do podniesienia zwierzostanu.

Dzierżawy polowań na terenach państwowych stwierdzają, bez wyjątku, iż rozkwit zwierzostanu osiąga się dopiero po pięciu latach intensywnej gospodarki łowieckiej.

Trzecia zasada: Ochrona zwierzyny, oparta na konieczności równowagi w przyrodzie.

Rozdział bezwzględny zwierzyny na pożyteczną i szkodliwą należy do przeżytków prawodawstw przedwojennych i jest szkodliwą krańcowością. Słowo „tępić“ i „niszczyć“, winno zniknąć z myśliwskiego słownika. Tępienie musi zastąpić proporcjonalny odstrzał. „Bez ograniczeń, co do terminów ochrony“, wolno będzie polować na rysie, żbiki, wilki, lisy. Nie znaczy to — by te gatunki zwierząt wytępić do ostatka.

Drapieżniki są policją sanitarną zwierzostanu. Wytępienie ich, wywołuje zanik lub zwyrodnienie zwierzyny t. zw. pożytecznej.

Czwarta zasada: Ochrona zwierzyny, oparta na racjonalnej opiece, nie zaś na bezwzględnych zakazach polowania.

Biegunowo przeciwną krańcowością dawnych



W ZIMOWEJ KNIEI.

prawodawstw łowieckich w porównaniu z tępieniem drapieżników, były bezwzględne zakazy polowania na ginące zwierzęta. Zakaz taki bywał dla danego gatunku najczęściej wyrokiem śmierci. Zwierzę bezwzględnie chronione — wyjęte poza nawias aspiracyj myśliwskich — ginęło bez opieki myśliwych, a przy niedostatecznej opiece państwa. Bezwzględnym zakazem obejmowałaby ustawa łowiecka jaknajmniejszą ilość zwierzyny: żubry, bobry, kozice, świstaki i — oczywiście — samice wielu zwierząt i ptaków łownych.

Racjonalna opieka polegałaby zatem nie na szablonowych zakazach ustawy, a na upoważnieniu Ministra Rolnictwa do rozszerzenia czasu ochronnego, zamykania polowań i odwrotnie, do zezwalania na odstrzał nawet w czasie ochronnym, ze względów hodowlanych.

Prawidłowy odstrzał sprzyja rozmnoży (np. głuszce). Towarzystwa łowieckie ponoszą koszty hodowlane tylko w stosunku do tej zwierzyny, na którą wolno polować.

Piąta zasada: Łowiectwo jest potężnym czynnikiem narodowego bogactwa — należy więc popierać wszelkiemi dostępnemi środkami rozwój hodowli, oraz karać surowo przestępstwa łowieckie.

Prawidłowa gospodarka łowiecka może dać olbrzymi dochód państwu (w przedwojennej Rosji rocznie 300 milj. rubli, w Niemczech — 170 miljonów mk., we Francji 369 miljonów franków). Polska mogłaby wyprodukować 50 milj. kilogr. mięsa zwierzyny — a zatem około 15 proc. ogólnej konsumcji mięsa w kraju. Poza tem z łowiectwem związana sprzedaż skór, przemysł rusznikarski, przemysł przyborów łowieckich i amunicji myśliwskiej, zarobki podwód i naganiaczy w porze zimowej, kiedy o zarobek trudno, a wreszcie olbrzymie dochody państwa, już dziś idące na skarb, z kart łowieckich, pozwoleń na broń, opłat za psy myśliwskie, tenut dzierżawnych, opłat za odstrzał zwierzyny. Budżet ogólny nie przewiduje na łowiectwo żadnych sum— podczas gdy czerpie z niego setki tysięcy złotych. Za same karty łowieckie preliminarz budżetowy na rok 1925 przewiduje 298.700 zł. (przy wydaniu 29.000 kart), tymczasem już w pierwszem półroczu r. b. wydano 35 tys. kart łowieckich, co w przeciągu roku da sumę przeszło dwukrotnie większą od preliminowanej. Drugie tyle zaś dają pozwolenia na broń myśliwską.

Stworzenie funduszu łowieckiego, istniejącego we wszystkich ustawach łowieckich Europy, jest u nas niemożebne. Koniecznem natomiast będzie środki na popieranie łowiectwa uwzględnić w preliminarzu budż. M. Rol. i uzupełnić darowiznami, czynionemi na podniesienie gospodarki łowieckiej w kraju.

Karanie przestępstw łowieckich musi być surowe. Tępienie zwierzyny jest wykroczeniem tem większem, że nieraz niepowetowanem. Można odbudować wspaniały zabytek architektury, nie można jednak odtworzyć zaginionego zwierzęcia. A zbyt już wiele zwierząt wyginęło na naszej ziemi, że wspomnimy: żubry, tury, dzikie konie, rosomaki, suhaki i ginące dziś bobry, łosie.

Kary nie mogą jednak wpadać w krańcowość, gdyż mijałyby się z celem. Za splunięcie na ulicy, jak wiemy, grozi kara 1000 zł. i dlatego, że jest zbyt wielka, nie bywa nigdy stosowaną. Musimy tego błędu uniknąć w przyszłej ustawie łowieckiej.

Podlegać karze będzie nieposiadanie karty łow., polowanie na cudzym terenie, polowanie niedozwolonym sposobem lub w czasie zakazanym, a także polowanie w nocy, handel ubitą zwierzyną w 14 dni po terminie ochrony, niszczenie gniazd, przechowywanie niedozwolonych przyborów łowieckich lub bezprawne polowanie z chartami i ogarami.

Karze zdwojonej podlegać będzie członek policji, żandarmerji, straży leśnej i łowieckiej, wójt w obrębie swojej gminy, oraz ten, kto dopuścił się wykroczenia poraz drugi w ciągu roku lub był trzykrotnie karany za pogwałcenie ustawy łowieckiej.

Wykroczenie myśl. na terenie ogrodzonym karane będzie jak każda kradzież, popełnione zaś pod fałszywym nazwiskiem lub w przebraniu — jak oszustwo.

Za wykroczenie małoletnich lub pozostających pod opieką, odpowiadają ich rodzice lub opiekunowie za brak dozoru. Jeśli kilka kar grozi, stosowaną będzie jedynie najwyższa. Grzywnie ponad 500 zł. towarzyszy odebranie prawa polowania od 3 — 5 lat.

Karanie przekroczeń ust. łowieckiej należeć będzie do atrybucji właściwych sądów.

Szósta zasada: Sprawiedliwe nagradzanie szkód przez łowiectwo uczynionych.

Szkody, czynione przez zwierzynę w rolnictwie i dobytku domowym, są najcięższą baterją, wytaczaną przeciwko łowiectwu.

Warto pod tym względem cofnąć się w przeszłość i przypomnieć sobie, iż nie mielibyśmy dziś ani rolnictwa, ani hodowli bydła, gdyby łowiectwo w dawnych czasach nie roztoczyło swych skrzydeł ochronnych nad młodą i bezbronną ludzkością.

Ustawa łowiecka musi bronić poszkodowanych, lecz nie może zejść ze stanowiska ochrony zwierzyny. Właściciel okręgu łowieckiego odpowiada za straty, wyrządzone przez zwierzynę, która ma w jego okręgu ostoję lub przez sztucznie karmioną zwierzynę przechodnią. W razie poważnych rozmiarów

szkód, ustawa przewiduje przymusowe polowania adm., zarządzane przez wojewodę.

Ósma zasada. Ograniczenie kart łowieckich zwierzyny poza walką z kłusownictwem, jest walka z nielegalnym handlem zwierzyną pod wszelkiemi postaciami.

Prowadzenie przez handlujących i jadłodajnie księgi kontroli z datą kupna i nazwiskiem oraz adresem sprzedawcy, niewątpliwie odda poważne usługi prawidłowemu łowiectwu.

Ósma zasada. Ograniczenie kart łowiectwa i pozwoleń na broń.

Pozwolenia na broń — termin roczny — opłata 5 zł.; karty łowieckie — termin roczny lub 5 dniowy, opłata 20 zł. i 3 zł.

Karta łowiecka nie może być wydana: kłusownikom, recydywistom, karanym sądownie, małoletnim do lat 16; może nie być wydana: osobom karanym sądownie, osobom nieprzedstawiającym gwarancji pod wzgl. łowieckim lub bezp. publ., osobom nie będącym właścicielami okr. łow. i nie mającym piśmiennego zezwolenia na polowanie na cudzym gruncie.

Dziewiąta zasada: Wykonawcą ustawy łow. będzie Min. Rolnictwa i D. P. za pośrednictwem władz adm. I i I instancji.

Władze administracyjne I instancji będą przytem zostawać w stałym kontakcie z miejscowem Tow. Łowieckiem, zasięgając według potrzeby jego opinji. Jest to z tego względu niezbędne, iż starostwa niektóre orjentują się słabo w sprawach łowieckich. (Odpow. starostw na ankietę w spr. zwierzostanu).

Dziesiąta zasada. Wykroczenia przeciwko Ustawie Łowieckiej podlegać będą rozpoznaniu w trybie oskarżenia publicznego.

Oczywiście, projekt ustawy, będący dopiero w opracowaniu i w uzgodnianiu, ulegnie jeszcze różnym zmianom i dopełnieniom, nim przedstawiony zostanie Sejmowi do zatwierdzenia.

Przed ostateczną jego redakcją, pragnę się jednak p r y w a t n i e podzielić z braćmi z pod znaku św. Huberta temi wytycznemi, które kierują mną przy pracy nad ustawą.

Juljan Ejsmond.



NOC WIGILIJNA.

(Z bajki dla dzieci).

Myśliwi w pokoju siedzą,
I nic o zajączku nie wiedzą".

Skończyło się tradycyjne polowanie w dniu wigilijnym!

Drogą od lasów ku wsi sunęło kilka par sań. Za niemi wozy z naganką i zwierzyną.

Sanie szły prędko po wyślizganej drodze. Zniecierpliwione długiem staniem konie — rwały z kopyta. Dymiły z chrap kłębami pary w mroźne powietrze.

Zmierzchało się.

W saniach wybuchały co chwila głośne, niefrasobliwe śmiechy: panowie myśliwi dzielili się wrażeniami z minionego polowania.

Otuleni futrami, w czapach ciepłych, ogromnych, z pod których jeno ten i ów nos na mróz wystawiał, niektórzy derą jeszcze nakryci, niby szopa na zimę.

Bo też okrutne było zimnisko.

Panie starosto — mówi znany na całą okolicę, zapalony, ale lichy myśliwy, pan Tomasz, właściciel pięknego, niezacinającego się browninga, — panie starosto — a co, wesoło było!

Ta pewnie — odpowiada ledwie widoczny, dobrze od mrozu zabezpieczony starosta.

Albo ten zając — wykrzykuje pan Adam, na drugich saniach — przed całą linją! Jak to grzmiało do niego... a on nic, brózdą kipi, słuchy po sobie położył, a śrót wokoło aż trzaska!... Ja ostatni—przygrzałem mu solidnie, przewrócił się bestja, a poszedł... żeby go wszyscy święci!

A to ja lepiej — mówi sąsiad — ja, panie dobrodzieju, w lesie... naganka już, już wychodzi — w tej drągowinie... a tu masz, panie; założyłem właśnie dubeltówczynę tę moją na plecy — łapy grzeję, bo kurzy... dobre sto kroków. Ta ja rozumie pan z mojej browningówki — ślicznie strzela, powiadam panu — sypię: Raz! Dwa! Trzy! Cztery... Musiał dostać, bo coś zadem wlókł... a tu nagle coś mi się, wyobraź sobie, proszę ciebie, mignie w zagajniku, z lewej strony. Jak Boga kocham — lis! Dalej go — ostatni nabój. Daję panu słowo, że się przewrócił, wie pan...

— Ho! ho! To napewno ten, co ja go dostałem, kulawy na nogę i bez ogona... he, he, he... — śmieje się gruby pan Atanazy.

Gospodarz zwraca się do pana Tomasza i mó-



PIĘKNA ZDOBYCZ.

mi srodze zmarzły, — a tu mi kot z pod nóg... z pod nóg mówię — tak, jak pana tu widzę! Zerwałem się, ale to za nim człowiek fuzję zdejmie, a odbezpieczy, a panie, zdecyduje się... Kota już niema... ino się tam jeszcze coś przy zagajniku rusza, więc ja bęc!—patrzę, rusza się, miga się... człowiek lufami to tam, to tu... bęc! Eee i tak!...

— No i zabił pan?

— Djabli ich tam wiedzą, czy go podnieśli...

Tu znowu wtrąca się pan Tomasz, mocno zaaferowany. — Nad lasem, wie pan, jak stałem na flance sam jeden, patrzę, zając polem idzie aż się wi: Aleś ty bracie w ostatnim kotle grzmiał — niech cię kule biją.

— Tak... tak... miałem „Anlauf“, czy jak się tam mówi...

— Twój głos, to już znam: Ta! ta! ta!... — Ta! ta! — Ta! ta! ta! ta! ta!...

— Ty tak do jednego zająca potrafisz pięć razy — co?

— Jak się uda... mam zawsze sporo strzałów do dyspozycji, chwalić Boga! I dużo ryzykuję... Co mi szkodzi? Sto kroków, sto dwadzieścia — drob-

nostka... może przecież zawsze choć jeden śrót dostać, a to wystarcza!

— No! no! pan dużo zwierzyny kaleczy w ten sposób... — przerwał nadleśniczy.

— Panie kochany — nie moja krzywda! Trzeba panie — jak się uda. Qui ne risque rien, n'a rien... wie pan, mówią Francuzi...

— Najlepszymi myśliwymi to oni tam też nie są... A zresztą, jak pan uważa...

— Ile pan ma zajęcy?

Nie chwaląc się, dwadzieścia osiem! — wybuchnął pan Tomasz, czekający tylko na sposobność.

— Wcale ładnie — będziesz z pewnością królem — pochwalił go gospodarz.

— A wolno spytać, ile pan też naboi wystrzelił? — przerwał pan Kazimierz, który dotąd w milczeniu przysłuchiwał się rozmowie.

— Dobrze nie wiem, ale będzie z sześćdziesiąt... — bąknął nieco zmieszany pan Tomasz, choć wiedział dobrze, że było ich znacznie więcej.

Pan Kazimierz nie odpowiedział nic; on sam strzelił dziewięć razy, zabił sześć zajęcy i trzy króliki.

Zbliżały się sanie do wsi, zajechały wkrótce przed jasno oświetlony dom.

Czekano gości myśliwych. Pani domu wyszła sama i zapraszała gorąco...

Pan Atanazy bardzo się wzdragał wstąpić. — Muszę jechać, pani dobrodziejka wybaczy... ale do siebie, na wigilję, dzieci czekają — he! he! he!

Pan Tomasz także koniecznie chciał się wytłómaczyć, ale kiedy mu przypomniano, że trzeba zdrowie króla wypić, raźno wyskoczył, pozwolił lokajowi zdjąć z siebie futra i niecierpliwie czekał owacji na swoją cześć...

— Panowie! kieliszek nie zawadzi! Na rozgrzewkę!

Oczywiście, „na rozgrzewkę" przystali wszyscy. Za chwilę już wznoszono zdrowie pana i pani domu, oraz króla polowania. Pan Tomasz był w siódmem niebie.

Służba tymczasem rozłożyła ubitą zwierzynę przed domem. Osiemdziesiąt kilka zajęcy leżało pokotem w kilku rzędach. Króliki po bokach... Z przodu, na pierwszym planie dwa lisy. Jeden bez ogona.

— Ja zabiłem, ja zabiłem — pani dobrodziejko — he! he! he! — śmiał się pan Atanazy. — Całuję rączki...

Leśniczy trąbił fałszywie fanfarę.

Po chwili zajechały sanie, goście poczęli się rozjeżdżać, każdy spieszył do siebie, na wigilję.

— — — — — — — — — — —

Wysokie niebo wyiskrzone było gwiazdami. Nastała ogromnie jasna noc, widna od blasku śniegów. Mróz był tęgi, siarczysty!

Gdzieś między kępy, przy starem torfowisku, na łące leśnej, wcisnął się ostatkiem sił biedny, raniony zając. Kilka śrócin utkwiło mu w mięsie, jedna przetrąciła skok, tak, że wlókł go za sobą boleśnie, teraz zaś wyczerpany długiem, trwożnem uciekaniem, bezsilny, słaby, tuli się w ośnieżonych traw kępy przed mrozem straszliwym, zabijającym.

Nie stanie już słupka, nie będzie wesoło kicał w gronie swawolnych towarzyszy, przyszli bowiem ludzie i Bogu ducha winnemu zajączkowi wyrządzili straszną, straszną krzywdę.

Inne przynajmniej odrazu ginęły, on — przeszedł przez ogień wystrzałów, burzę grzmotów śmiercionośnych — chcąc za jakąkolwiek cenę uratować biedne swoje życie... Z życiem też wyszedł, ale w jakim stanie? Oj, dobrze mu się dostało z kilku strzałów, które za nim oddano. Pieką, palą rany, dokucza, boli złamany skok. A mróz jest taki ogromny. Powoli zaczyna się przesilać życie, śmierć, zapomnienie dobroczynne schodzi na nieszczęśliwe, umęczone zwierzątko.

A tam, nie wiele dalej, w zagajniku świerkowym, na białym, iskrzącym się śniegu, leży bezwładny, ale przytomny jeszcze lis. Uciekł po strasznym huku, który rozgrzmiał mu nagle gdzieś blisko i zatargał w nim bólem — w chwili, kiedy zdawało się, że bezpiecznie mknie przed zbliżającym się, niezwykłym hałasem... Uciekł i wreszcie opadłszy z sił, osunął się na miękkie, puchowe, śnieżne posłanie. Od czasu do czasu wstrząsa nim przedśmiertna czkawka. W gasnących, przebiegłych zwykle oczach maluje się strach, tępy strach, przerażenie... lęk przed idącą śmiercią.

Ostatni wysiłek: próbuje się podnieść... Ciężko, z widocznym trudem dyszy... Nagle — rzuca się pyskiem krew purpurowa na biały śnieg... Zachłysnął się nią raz i drugi, rzężał jeszcze chwilę... sztywniejące łapy wolno wyciągnęły się... Łeb opadł bezwładnie....

Na granatowe niebo wyszedł księżyc. Oświecił las, cały w śniegu, wyglądający, jak bajka, kraj zaczarowany... Pusto było wokoło.

Z drzewa jakiegoś, niby cień, bezszelestnie zesunął się duży ptak. Zatrzepotał się nad zagajnikiem i łąką w księżycowej poświacie i nagle zaśmiał się złowrogim, przeraźliwym, mrożącym krew w żyłach chichotem.

— — — — — — — — — — — —

W pałacu pana Tomasza śliczna była choinka, wilja suta, ciepło przy kominku, dzieci dostały dużo prezentów. Pan Tomasz wspominał błogo minione polowanie.

„Jakież to zimnisko — mówił do żony—szczęśliwy, kto w tym czasie może siedzieć w domu, nie potrzebuje pozostać na polu...

Albo w lesie — dodała sentymentalnie pani Tomaszowa, nalewając mężowi jeszcze jeden kieliszek „myśliwskiej".

Aleksander Janta Polczyński.

Z MOICH POLOWAŃ NA LISY.

Wyjątkowo wcześnie wybrałem się w tym roku na polowanie na lisy do jednego z kresowych powiatów Wołynia, ale wpłynęło na to wiele lokalnych warunków, a uzupełniła miary krótko brzmiąca a zachęcająca depesza: „Lisy są, pogoda piękna, czekamy".

Taki zachęcający telegram otrzymałem w pierwszej połowie listopada ubiegłego roku, a że nawykłem już w długoletniej wojażerce myśliwskiej do



W puszczy Knyszyńskiej. Fot. p. Wł. Orda.

szybkich decyzji, na drugi dzień rano byłem już w drodze.

Warszawa, Brześć, Kowel, Włodzimierz, szybko przemknęły widziane z okien kurjerskiego pociągu i po dwudziestoczterogodzinnej jeździe, cokolwiek może męczącej, znalazłem się w objęciach kochanego i drogiego mi zawsze nadleśnego pana T.

Kilkanaście tysięcy hektarów lasu, podzielonego na kilka leśnictw, z których niejedno po dziś dzień świeci śladami przeżytych walk ostatniego zmagania się Narodów, oto teren, na którym od kilku lat miałem możność przeżywania podniosłych wrażeń myśliwskich.

W tym roku wybór padł na jedno z leśnictw najdalej wysuniętych na Wschód i najwięcej uszkodzonych przez działania wojenne. Las cały niemal zryty okopami i blindażami, pełno wszędzie ziemianek i rowów strzeleckich, mniej lub więcej pozapadanych i zdewastowanych; część starodrzewiu powybijana od pocisków armatnich, choć nowe a zawsze bujne życie organiczne, zaznaczyło już swój wpływ i siłę, tworząc silne i gęste podszycie dębiny, osiki i leszczyny.

Szczególnie jeden z rewirów leśnych gęsto podszyty młodą osiką, był ulubionem miejscem lisich rodzin i tam też zawsze niemal spotkać było można przedstawiciela tego chytrego rodu. Staliśmy w siedem strzelb na dość szerokiej linji leśnej, dzielącej dwa poszczególne rewiry. Cisza panowała niezamącona, gdzieś z boku słychać było regularne stukanie dzięcioła; zdala dochodziły odgłosy i postukiwania posuwającej się „huczki". Wpatrzony w gęstwinę nieruchomej osiki mimowoli przeniosłem wzrok na wysoką sosnę, zkąd dochodziły równomierne stukania dzięcioła, śledząc oczyma posuwającego się po suchej gałęzi, tego wdzięcznego ptaka. Naraz przestał kuć i nie doszedłszy końca gałęzi, przefrunął na inną sosnę, znacznie dalej stojącą. Trwało to wszystko kilkanaście sekund i wzrok mój spoczął ponownie wpatrzony w gęstwinę leśną. Żaden strzał dotychczas nie zmącił uroczystej ciszy tego pięknego mroźnego poranku. Naraz drgnąłem. Coś mignęło w głębi lasu i znikło. Kurczowo ścisnąłem strzelbę w ręku i natężonym wzrokiem śledziłem krzak niemal każdy; odgłosy „huczki" dochodziły coraz silniejsze i wyraźniejsze. Wtem wzrok mój znieruchomiał, wpatrzony w jeden punkt, gdzie z za krzaka pokrzywionej i liśćmi jeszcze suchemi pokrytej dębiny, wysunęła się wydłużona, czarna mordka z czujnie stojącemi uszkami. Lis wspiął się przedniemi łapkami i zakryty cały krzakiem, czujnie patrzył i wietrzył. Zadaleko było by strzelać i za gęsta ściana młodej osiczyny odgradzała mię, by módz być pewnym strzału, tem bardziej, że chwilami głowa lisa chowała się, widocznie węsząc i śledząc inny kierunek. Wtem lis, czy zaniepokojony odgłosami naganki, czy też wyczuł grożące mu niebezpieczeństwo, lekkim susem odskoczył od krzaka i chyłkiem, sunąc po ziemi, zaczął się oddalać w kierunku nadchodzącej „huczki". Nie było czasu do stracenia. Strzeliłem z jednej i drugiej lufy. Lis skoczył gwałtownie i w kilku susach, kitę zadarłszy do góry, zniknął mi

z oczu. Nie wątpiłem ani na chwilę, że został ranny, gdyż samo już zadarcie kity do góry, potwierdzało moje przypuszczenie, chodziło tylko o to, czy dostał mocniej czy słabiej, w ostatnim wypadku mógł być niedoszukanym i straconym. Z niecierpliwością oczekiwałem ukończenia miotu i gdy tylko pierwsi chłopcy z huczki ukazali się na linji, nieodpowiadając na pytania zbliżających się sąsiadów, wziąwszy gajowego i dwóch chłopców, ruszyłem w gąszcz szukać śladów. W miejscu, gdzie węszył lis, znaleźliśmy kilka kropli krwi, a dalej, co dwa, trzy, kroki na zeschłych leżących na ziemi liściach, znajdowaliśmy farbę; ślad prowadził dość daleko. Na jednem miejscu znaleźliśmy silniejsze ślady farby na korze osiki, widocznie lis uciekając obtarł się skrwawionym bokiem o drzewo. Ślady doprowadziły nas do zapadłej ziemianki, kilka silniejszych kropli krwi wskazywało miejsce, którędy lis wszedł do nory. Nie chcąc zatrzymywać dalszego polowania i mych towarzyszy, prosiłem o czasowe zwolnienie mię, i mając gajowego, oraz kilku chłopców przystąpiliśmy do ofenzywy wydobycia lisa. Sprowadziliśmy szpadle z gajówki i pozatykawszy i zawaliwszy ziemią wszystkie możliwe i widoczne, bliższe i dalsze, wyjścia i wejścia lisie, przystąpiliśmy do rozszerzenia otworu, którędy lis wszedł. Zawdzięczając dobrej orjentacji, zawziętego szczególnie na ród lisi gajowego, oraz pomocy, zachęconych obietnicą, że „mohorycz bude", chłopców, robota postępowała szybko i raźno, tak, że po pewnym czasie, zawalając i przekopując poszczególne przejścia, dotarliśmy do miejsca, gdzie, według wszelkich orjentacji i prawdopodobieństwa, lis znajdować się powinien. Niecierpliwy a odważny gajowy, wróg, jak już zaznaczyłem, wszystkich lisów, nie zważając na moje ostrzeżenia grożącego niebezpieczeństwa i rady by dalej kopać, wsunął się w otwór głęboko by, jak zaznaczył, zbadać „położenie". Nie chcąc zblizka bardzo strzelać do lisa śrutem w razie nagłej potrzeby, wyjąłem browning i stanąłem z boku; krótki urwany odgłos z pod ziemi doszedł mych uszu i po chwili ujrzałem wysuwające się buty gajowego, a za chwilę i jego samego ciągnącego za tylne nogi żywego jeszcze i rzucającego się lisa. Szybkim ruchem zmierzyłem i gdy tylko ukazała się głowa lisa, strzeliłem; drgnął i znieruchomiał odrazu. Dzielny gajowy żałował, że się pośpieszyłem ze strzałem, chciał bowiem, jak zaznaczył, „nauczyć" tego „chitreca".

Zabity lis okazał się przepysznym okazem! Był to stary samiec, który niejednokrotnie już musiał być w rozmaitych opałach, sądząc choćby ze śladów poprzecieranej od wnyka skóry. Towarzysz naszego polowania leśniczy p. K., sympatyczny nad wyraz, dzielny i stary myśliwy, który już sporą liczbę miał na swem sumieniu lisów, szczerze i otwarcie przyznał, że rzadko mu się zdarzyło spotkać podobnie piękny okaz.

Na drugi dzień polowaliśmy w innym, oddalonym o trzydzieści kilometrów rewirze leśnym, gdzie spodziewaliśmy się dzików. Zamiast tej gorąco oczekiwanej zwierzyny, udało mi się zabić jeszcze jednego lisa, znacznie już mniejszego. Padł przeszyty kulą, gdyż takie naboje miałem w lufach, spodziewając się grubszego zwierza, a zarażony „zawziętością" na ród lisi, towarzyszącego nam gajowego, nie mogłem darować mu życia.

Pełen wrażeń i przeżyć myśliwskich, wróciłem, po dniach kilku, tak mile spędzonych, w domowe pielesze, snując wątek dalszych, a projektowanych polowań.

inż. A. Orłowski.

NASZE BŁOTNIAKI.

(*Monografje myśliwskie*).

3

Na stawach, obieranych przez kaczki na stałe osiedla, pojawiają się już wczesną wiosną liczne błotniaki, a tem więcej ich nalatuje, im mniej wstrętów im się czyni. Jeśli gospodarz - myśliwy chce zapewnić kaczkom i gęsiom na swojem łowisku należyty spokój i swobodę lęgu, tudzież pomyślny rozrost młodego pokolenia niechajże odstrzeliwuje pilnie wszystkie błotniaki już w kwietniu i w maju, zanim gnieździć się zaczną. Trzciny i szuwary rosną szybko i zanim się myśliwy - hodowca spostrzeże, zaszyją się w nich błotniaki tak głęboko i dokładnie, że mu później przyjdzie trudno z niemi się rozprawić. W wymienionych miesiącach możnaby także wystrzelać i wypłoszyć wszystkie łyski, tak szkodliwe dla rybołówstwa i tak bardzo uciążliwe dla kaczek. Każde zaniedbanie i niedopatrzenie w tym kierunku w miesiącach wiosennych może się odbić bardzo ujemnie na stanie łownej zwierzyny.

Charakterystycznemi oznakami w upierzeniu tego gatunku są: biaława pręga nad oczami i ciemna opaska, półokrągła pod niemi i znowu jaśniejsza obroża pod szyją i po bokach, wreszcie biała plama

nad ogonem tuż u nasady. Po tej białej łatce można poznać go zdaleka przy każdym zwrocie lotu. Tęczówkę miewa żółtą, woskówkę i stopy cytrynowe. Głowa duża, okrągła, kończy się ostrym, zakrzywionym dziobem, koloru czarnego, trzyczłonowe palce uzbrojone są krótkiemi, ale ostremi szponami.

Długość dochodzi do 50 cm., szerokość w rozskrzydlu do 120 cm., ogon mierzy 21 cm. Samica prezentuje się nieco okazalej.

Błotniak zbożowy przylatuje do nas w kwietniu, przebywa do września, a w drugiej jego połowie już odlatuje na południe. Najliczniej przebywa na Podolu, bo lubi klimat stepowy, okolice bezleśne, a nade wszystko szumiące łany kukurydzy. Kraj równinny przenosi nad pagórkowaty. Interesujący jest z tego podowodu, że swój ulubiony teren przelatuje w różnych kierunkach po kilka razy dziennie. Ciągnie więc wzdłuż rowu, lub rzeczek wzdłuż szeregu drzew przydrożnych, okrąża stojące samotnie krzaki a zawsze z głową opuszczoną i wytężonym ku ziemi wzrokiem, opada nagle, jakgdyby atakował wypatrzoną zdobycz, na chwilkę przysiądzie na miedzy, wypocznie i znowu się podnosi, lecąc dalej i śpiesząc ku jakiemuś nieznanemu celowi. Jest zawsze ruchliwy, zawsze głodny i zawsze bardzo chudy... Wypoczywając po trudach lotu na kretowinie, lub na kamieniu, wodzi sennym wzrokiem dookoła siebie, bada najbliższe otoczenie i zrywa się do lotu



BŁOTNIAK

bez powodu. Niepokój jego wzrasta szczególniej przed odlotem na zimę. Na drzewach nie siada.

W okresie parowania się latają oboje wysoko, wykonując szybkie ruchy w górę i w dół ze zwinnością, jakiejby się po nim nikt nie spodziewał. Wtedy jest wesoły i ogłasza się donośnym piskiem.

Gniazdo buduje niezgrabnie, zwykle w zbożu na gołej ziemi, niekiedy na zrębach, a czasem na kraju bagien, w wysokiej trawie. Za materjał budowlany służy sucha nać ziemniaczana, zeschłe liście trzciny lub słoma z obornika; środek gniazda wyściela mchem, sierścią i pierzem. Jaja znosi zwykle w drugiej połowie maja, gdy już podrosną zboża i legowisko zakryją. Bywa ich pięć; są nieco większe od gołębich do 46 mm. długie, brudno zielone i czerwono zrzadka nakrapiane.

Samica siedzi twardo 21 dni; samiec ją w tym czasie troskliwie dokarmia. Młode, okryte szarym puchem, siedzą w gnieździe zwrócone ku sobie główkami. Są wesołe. Jako nagniezdne nie opuszają przez dłuższy czas swego mieszkania. Po siedmiu tygodniach już latają z początku z rodzicami, później polują samodzielnie, wreszcie odlatują ze staremi na zimę.

Błotniak zbożowy żywi się owadami, małemi gryzoniami i małemi ptakami. Cierpią wiele od niego przepiórki i kuropatwy, a nawet małe zające. W locie nie chwyta żadnej zwierzyny, ale na ziemi może umorzyć nawet starego bażanta.

Mając wzrok doskonały, wypatruje z góry zdobycz, uderza na nią i zabija, zadając śmiertelne razy ostrym dziobem w głowę; następnie łup oskubuje i wydziera wnętrzności, które są jego specjałem.

Gdy błotniak zobaczy kurczęta, nad któremi czuwa kwoka, stara się stoczyć z nią najpierw zwycięski bój o kurczę. Lecą wówczas gęsto pióra z obu zapaśników. Błotniak zdąża do tego, aby matkę odciągnąć jak najdalej od piskląt, a gdy swój cel taktyczny osiągnie, porzuca nagle kwokę, spada piorunem na jedno z młodych, porywa je i unosi. Jako mały chłopiec widziałem raz taką scenę w domu rodziców.

Z powodu znacznej szkodliwości powinno się i tego błotniaka tępić, ale że jest zawsze ostrożny, trudno go dostać na strzał.

Podobne zwyczaje wykazuje inny błotniak, żyjący w południowej Rosji, w Rumunji, w Turcji w Małej Azji, w północnej Afryce. Zalatuje niekiedy i do Polski. Taczanowski nazywa go błotniakiem bladym albo stepowym. Upierzenie ma jednostajne, jasno popielate, na grzbiecie prawie białe, z wyraźnie prążkowanym ogonem. Wielkością dorównuje błotniakowi zbożowemu,

jest tylko więcej smukły od niego. Patrzy oczyma dużemi o tęczówce jasno żółtej; woskówka i nogi są również tego samego koloru. W przeciwieństwie do błotniaka zbożowego lubi siadać na drzewach, na stogach siana i na stertach. Na pusztach węgierskich zajmuje chętnie wznoszące się samotnie żórawie studzienne i długie godziny na nich przesiaduje, przybierając wtedy postać niemal pionową.

Ulubionem jego pożywieniem są wszystkie małe gryzonie, przedewszystkiem susły, nie gardzi jednak ani przepiórką, ani kuropatwą, ani młodym zajączkiem. Zasługuje więc na strzał, aczkolwiek ze względu na swoją egzotyczność i znaczną w porze lęgowej użyteczność raczej by go oszczędzać należało.

Najpiękniejszym atoli naszym błotniakiem jest błotniak popielaty. Jest to ptak duży, bo dorasta do rozmiarów błotniaka stawowego. Stary samiec nosi płaszcz jednostajnie jasno popielaty, z białym odcieniem na głowie, barkach i na grzbiecie nad ogonem; podobną białą łatkę u nasady ogona posiada i błotniak zbożowy. Pierze na piersiach i po bokach głowy jest nieco ciemniejsze, nadto każde piórko ciemniej na końcu znaczone. Spodnie i podbicie ogona bywają czasem słabo prążkowane. Lotki są z wierzchu ciemno-szare, ze spodu zaś jasne, prawie białe; końce pierwszych lotek, głównych są czarne z obu stron, to znaczy z wierzchu i ze spodu, wszystkie zaś dalsze są ciemno znaczone, ale tylko **na końcach i tylko od spodu.**

Po wierzchu skrzydeł biegnie wzdłuż barku ciemna, szeroka pręga. Środkowe sterówki są ciemno popielate, skrajne prawie białe, niekiedy słabo pręgowane. Nad oczami widać jaśniejszą, nie zawsze wyraźną plamę, pod niemi zaś ciemniejszą pręgę.

Budowa dużej głowy, układ oczu i bujny porost u nasady dzióba szczeciniastemi piórkami, przypomina głowę sowy.

Tęczówka u starego ptaka jest żółta, u młodego jasno brunatna, dziób czarny, woskówka i długie wątłe nogi oliwkowo żółte. Posiada krótkie, ale ostre szpony koloru czarnego.

Błotniak popielaty przebywa w większych skupieniach w południowo - wschodniej Europie i na stepach zachodniej Azji. Nie brakuje go jednak i w południowej Polsce. Okolice podmokłe, obfitujące w rozległe łąki i otwarte, przenosi nad miejsca zalesione. W górach nie widać go wcale. Jest ptakiem przelotnym. Przybywa do nas w kwietniu, a odlatuje w październiku w okolice Morza Śródziemnego. Zdarza się niekiedy, że i u nas zimuje, co sam zauważyłem, ale zdaje się, że tylko wtedy, gdy jest zima ciepła, bezśnieżna i gdy na polach widzi się bujną ruń ozimin. Zachowuje się podobnie, jak błotniak zbożowy, lata nad polami bezustannie i dąży zawsze w pewnym kierunku, nie kołując prawie nigdy. Zmęczony lotem, opada na łany oziminy w miejscu osłoniętem i spoczywa, siedząc bez ruchu, długie godziny. Po wypoczynku zrywa się, unosząc się chwiejnym, powolnym lotem nad potokami, zarośniętemi łoziną, lub wierzbą i znika w końcu, jak mara, z oczu. W następnym dniu pojawia się znowu o tej samej godzinie w tych samych miejscach. Napatrzyłem się dowoli tym błotniakom na rzeszowskich polach.....

I on szuka swego pożywienia tylko na ziemi. W tym celu lata zawsze nisko w dwumetrowej mniej więcej wysokości. Lot ma wytrwały, ale powolny, podobny uderzająco do lotu mewy. Jest zazwyczaj bardzo ruchliwy, zwłaszcza w dniu pogodnym i ciepłym. Lata chętnie pod wiatr, szybując nad szumiącem zbożem i nad trawą na łące. Czasem wzniesie się nagle prostopadle do góry, by za chwilę zapaść w wysoką trawę lub zboże i wypocząć, względnie przekonać się, że zdobycz, którą dojrzał, już umknęła.

(D. c. n.). *Wł. Gürtler*

O rynek zbytu dla ubitej zwierzyny.

Nagroda wieńczyć winna każdy zabieg człowieka należy się ona zatem myśliwemu - hodowcy nie szczędzącemu trudów około podniesienia zwierzostanu swego łowiska, nagroda, proporcjonalna do wysiłku. Wielostronną ona być może, będzie nią wieniec kapitalnego jelenia, parostki kozła lub półksiężyc lśniących szabli dzika.

A jednak nawet najwspanialsze trofeum nie dałoby zdobywcy swemu należytej satysfakcji, nie zamąconego obrazu wspomnień, gdyby okupionem być miało tą pewnością, że dziczyzna tego zwierza, którego dosięgnął pocisk myśliwca, stała się żerem drapieżników. Wszak o takich wypadkach mówią opisy polowań z Azji lub Afryki, nam zaś, na zasadach łowiectwa w Europie przyjętych, stają się one choć częściowo zrozumiałemi, gdy pod uwagę weźmiemy okoliczności, w jakich w tych krainach odbywają się łowy. Tymczasem rozważmy zużytkowanie ubitej zwierzyny u nas.

Społeczeństwo nasze, tej zwierzyny odbiorca,

za dziczyznę tak w porównaniu z cenami zagranicą, jak i w porównaniu z cenami naboi są niskie, nie znajdują one odbiorców, nie dlatego, że tak wielkie jej ilości rzucane bywają na rynek, lecz wielu jej znaczenia docenić nie umie, w przeciwnym bowiem razie, z większem do niej odnosiłoby się zainteresowaniem. Bywają okresy, że pozbyć się nie można kozła, tem więcej jelenia lub dzika, a składy delikatesów odmowę tłómaczą brakiem popytu, czynnikiem, który tem bardziej staje



Martwa natura.

się decydującym dla nich, im cieplejsza jest pora roku. A przecież jakiem miłem urozmaiceniem jest zwierzyna dla wytrawnego smakosza!

I względy finansowe na jej korzyść przemawiają, niska cena pozwala jej konkurować korzystnie z cenami mięsa, a już przy zającu, skóra jego jest dodatkiem. Inaczej przedstawia się kwestja cen naprzykład w Niemczech. Jest ona tam tak wysoką, że stała się przyczyną upadku zwierzostanu, zwłaszcza w okolicach wielkich miast, na terenach dzierżawionych przez wątpliwej wartości nemrodów. Dlatego też, mimo wysokiego cła wywozowego opłaca się doskonale eksport zwierzyny. Jakiekolwiek obawy, by mogły ulec zepsuciu chociażby największe masy zwierzyny, do centrum Niemiec zwiezionej, rozprasza widok doskonale urządzonych, specjalnych chłodni. Z eksportem związaną ściśle jest konieczność transportowania zwierzyny koleją. Pod tym jednak względem nie wiele, przypuszczam, różnimy się od naszych wschodnich sąsiadów. Zdarzało się, że jeleń, wysłany z Gniezna do Poznania, a więc na odległość 60 klm. był w drodze 4 dni, a zające wysłane swego czasu z Gniezna do Katowic, znaleziono po dwóch tygodniach ześmierdnięte wśród śmieci i węgla na stacji kolei państwowej. Na kolejach niemieckich obowiązywało przed wojną prawo, na mocy którego zwierzynę zabierał następny pociąg pośpieszny, ale było to w czasach, kiedy do łowiectwa najzupełniej inaczej, aniżeli dzisiaj się odnoszono. Możeby rząd nasz sprawę tę z innego punktu widzenia traktował, gdyby myśliwstwo było bardziej demokratycznym sportem, a takim ono przecież z natury rzeczy nie jest. Ostatecznie wszelkie z pozbyciem się dziczyzny złączone trudności dadzą się wytłomaczyć brakiem kupców specjalistów z tej dziedziny, inaczej znaleźliby się tacy, którzyby umieli zużytkować ją, przyczem należałoby zwrócić uwagę na wyrób konserw mięsnych, buljonu w słoikach, do którego to celu zwierzyna ubita nadaje się doskonale.

Rozważając powyższy stan rzeczy, łatwo przychodzimy do wniosku, jak ujemnie wpłynąć on musi na hodowlę zwierzyny i jej stan ilościowy. Jasnem jest, że na obszarze całej Rzeczypospolitej zaledwie kilka znajdzie się takich jednostek, dla których kwestja materjalna tak małą odgrywa rolę, by pozwolić sobie mogły na zupełne jej lekceważenie, które dla gospodarki łowieckiej czerpią skądinąd fundusze.

Olbrzymia większość, oczywiście tylko prawidłowych myśliwych, dążąc do podniesienia swego zwierzostanu, z zysków z niego dających się osiągnąć, pokrywać musi z pracą swą związane wydatki. Jeżeli więc wskutek braku zbytu na ubitą zwierzynę, wydatki w łowisku przekraczają jego dochody, cierpi na tem zwierzostan; dojdzie zaś może w niedługim czasie do tego, że zając kosztować będzie bajkową sumę, albowiem będzie to jeden z ostatnich. Sprawę tę poruszyłem dlatego, by na łamach poczytnego pisma wszcząć na jej temat dyskusję w nadziei, że wśród szeregu zainteresowanych znajdzie się kilka może odpowiedzi na pytanie, komu odstawiać należy ubitą zwierzynę naszych kniei i pól.

T. Metzig.

Broń i amunicja.

Badanie dobroci łusek papierowych „Pocisk“ dokonane przez Lubelskie Towarzystwo Łowieckie.

Od dawien dawna odczuwali ci myśliwi, którym rozwój rodzimego przemysłu leży na sercu, brak polskiej wytwórni amunicji i zdawało się, gdy fabryka „Pocisk“ przystąpiła do wyrobu łusek dla broni śrutowej, że łuski te powinny znaleźć natychmiast szerokie wśród warstw łowieckich rozpowszechnienie. Niestety, nieufność nasza do wszystkiego, co jest wytworzone w kraju, a zamiłowanie do tego, co obce, sprawiły, że ta ważna gałęź przemysłu do tej pory musi z trudem zdobywać sobie zbyt w kraju. Wyroby obce natomiast znajdują stale chętnych odbiorców, którzy w dodatku, chcąc usprawiedliwić swą niechęć do fabrykatu krajowego, szerzą o nim najdziwaczniejsze, bezpodstawne, a zawsze niestety, ujemne opinje, przyczyniając się tem samem do odebrania chęci używania łusek „Pocisk“ tym wszystkim, co ich jeszcze nie próbowali.

Uważając, że chęć z jednej strony, obowiązkiem wszystkich organizacyj społecznych polskich jest popieranie przemysłu rodzimego, to jednak z drugiej strony stowarzyszenia łowieckie mogą polecić ogółowi myśliwych jakiekolwiek wyroby dopiero po dokładnem i fachowem ich zbadaniu — Lubelskie Towarzystwo Łowieckie postanowiło przeprowadzić próby łusek „Pocisk“ i dla dokonania prób, wybrało specjalną komisję, w skład której weszli następujący członkowie towarzystwa:

P. dr. Stanisław Bryła — wice-wojewoda Lubelski;

P. Feliks Moskalewski — prezes IV Okr. Tow. „Sokół“;

P. Eugenjusz Frieman — prezes Lub. Tow. Łow. i właściciel składu broni;

P. Jan Zakrzewski — p. inspektor i zastępca Komendanta Wojew. Policji Państw.;

P. inż. Stanisław Korczyński — Naczelnik Wydziału VII urz. wojew.

W obecności komisji dnia 28 października 1925 r. zostały naładowane łuski „Pocisk“ Cal. 12 ,o kapiszonie płaskim, przyczem użyto dwa gramy prochu bezdymnego Rothweilera i śrutu hartowanego Nr. 2 t. j. 3,5 milimetra średnicy — 32 gramy, a dla porównania sporządzono naboje z łusek niemieckich Utendorfera z kapiszonem Gevelote, używając do nich dokładnie tej samej ilości i gatunku prochu, śrutu i przybitek. Po wykonaniu ładunków, komisja udała się na plac sportowy Stowarzyszenia „Lublinianka“ i z odległości 36 m. oddano szereg strzałów do nowych zeszytów 100 kartkowych z papieru cienkiego i do książki rachunkowej, z papieru grubszego, dla porównania siły przebicia, oraz do większych arkuszy, dla porównania równomierności pokrycia.

Wszystkie strzały oddano z jednej i tej samej broni, z lufy tylko prawej, a strzelano ponad rozesłanemi na ziemi na dłuższej przestrzeni arkuszami papieru, dla równoczesnego przekonania się o ilości niespalonego prochu. Wyniki były następujące:

1) Strzał do książki rachunkowej:

ładunkiem z łuską	Utendorfera	przebito	30	kartek
„	„	„Pocisk“	„	48	„

2) Strzał do zeszytów 100 kartkowych:

ładunkiem z łuską	Utendorfera	przebito	68	kartek
„	„	„Pocisk“	„	74	„

Spalenie prochu tak przy strzałach łuskami Utendorfera, jak i „Pocisk“ omal całkowite.

Dnia 30.X. r. b. taż sama komisja w tem samem miejscu dokonała jeszcze jednej próby, biorąc oprócz naboi, sporządzonych z łusek Utendorfera i „Pocisk“, nabitych 2 gramami prochu Rothweilera i 32 gramami śrutu, również naboje gotowe S-ki Myśliwskiej w Warszawie, nabite 2,2 gramami tegoż samego prochu i 33 gramami takiego samego śrutu.

Przy dystansie 36 metrów strzelano do:

1) razem związanych tekturek twardych 3 mm. grubych:

ładunkiem z łusek	Utendorfera	przebito	2	tekturki
„	„	„Pocisk“	„	3	„
„	„	W. S. M.	„	3	„

2) do zeszytów 100 kartkowych:

ładunkiem z łuską	Utendorfera	przebito	69	kartek
„	„	„Pocisk“	„	83	„
„	„	W. S. M.	„	71	„

W obu dniach wystrzelano jeszcze kilkanaście naboi dla sprawdzenia pokrycia, które nie wykazało żadnych różnic przy użytych trzech gatunkach łusek, a natomiast zaobserwowano, że przy wystrzelonej ogólnej liczbie około 20 sztuk łusek, „Pocisk“, ani jeden raz kapiszon nie zawiódł, ani jedna łuska nie pękła, również przy strzale z brauninga, łuski wyskakiwały w zupełnie dobrym stanie.

Uważając rezultat powyższych badań za bardzo dodatni dla wyrobów „Pocisk“, Lubelskie Tow. Łowieckie żywi nadzieję, że skoro tego rodzaju próby dokonane zostaną przez inne Towarzystwa Ło-

wieckie, to niezawodnie wszyscy polscy myśliwi zechcą nabywać tylko produkt krajowy, a zwiększenie produkcji, które przez to nastąpi, da możność fabryce dalszego ulepszenia swego wyrobu, a takiem pożądanem ulepszeniem jest użycie cokolwiek mniej hygroskopijnego, a więcej sprasowanego papieru, niepęczniejącego tak łatwo na wilgoci, choć i ta wada podobno już jest w nowych wyrobach usunięta, gdyż trzeba dodać, że próby powyższe były przeprowadzone z łuskami dawniejszego typu.

Lublin, dnia 12 listopada 1925 r.

podpisali: *Dr. Stanisław Bryla*
Feliks Moskalewski
Eugenjusz Frieman
Jan Zakrzewski
Stanisław Korczyński.

W sprawie krajowej produkcji łusek słów kilka.

Łusek „Pocisku" dotąd w użyciu nie miałem, los ten jednak podzielam niewątpliwie z 99 proc. myśliwych w Polsce.

Że zaś tak jest, iż łuski „Pocisku" prawie wcale dotąd w użycie nie weszły, to wina nie tyle myśliwych, ile samej fabryki. Do zapropagowania bowiem łusek krajowych nie wystarczy umieścić tu lub ówdzie w pismach łowieckich anons o nich, nie wystarczy także czekać na zamówienia kupców, ani nawet przesyłać im próbki bez zamówienia, boć interes kupca nie zawsze idzie w parze z interesem fabryki i przemysłu krajowego. Fabryka krajowa łusek powinna iść przebojem, trafić do samego konsumenta, względnie do jego przekonania i towar mu niejako narzucić i w ten sposób zdobyć rynek zbytu. Skoro fabryka przekona konsumenta — myśliwego o dobroci owych łusek w kraju wyrabianych, to myśliwi sami będą się domagali od kupców, aby łuski krajowe prowadzili, co dziś dzieje się tylko w niewielkich ilościach, sporadycznie i to tylko w niektórych magazynach broni. Ze strony fabryki „Pocisku" dotąd wcale takich usiłowań opanowania rynku krajowego nie widać, boć chyba najlepszą sposobnością do zaprodukowania łusek krajowych były zjazdy myśliwskie, jakie się w r. b. w porze letniej odbyły. Tymczasem, ani na II Narodowych Zawodach strzeleckich w Krakowie, ani na dorocznym Zjeździe Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we Lwowie, ani z pewnością także na innych zjazdach, specjalnie w tym roku licznie w różnych miastach Państwa odbytych, nie pojawił się żaden emisarjusz fabryki, któryby łuski zaprodukował, a jeśli są rzeczywiście dobre, w ten sposób je społeczności myśliwskiej narzucił.

Takie objawy braku zmysłu kupieckiego są u nas częste, tak samo dzieje się np. z kartami do gry, bo, jakkolwiek mamy w Polsce kilka fabryk dobre karty wyrabiających, to do dziś, co najmniej 95 proc. graczy i kasy używa kart Piatnika z Wiednia lub innych fabryk niemieckich, bo znowu zupełny brak reklamy i propagandy ze strony fabrykantów czyni karty fabryk krajowych towarem szerszej publiczności prawie nieznanym.

Po tych ogólnych uwagach, przechodzę do właściwej sprawy, a to do małej polemiki z panem Naborowskim, z powodu jego artykułu w sprawie fabrykacji łusek w kraju, umieszczonego w numerze 20 — 21 „Przeglądu myśliwskiego i Łowiectwa polskiego". Polemikę taką uważam za tem konieczniejszą, by fabryka „Pocisk", której Redakcja „Przeglądu", jak to zapowiedziała, zamierza przesłać uzbierany ankietą materjał, nie zechciała zapatrywań p. Naborowski doradza fabryce „Pocisku", by w przyjako wyraz zgodnych życzeń ogółu myśliwskiego i może do nich ewentualnie się zastosować. Pan Nabodowski doradza fabryce „Pocisku", by w przyszłości fabrykację swych łusek zmieniła w tym kierunku, aby w ich spłonce, zamiast kowadełka nieruchomego, zaaplikowała kowadełko ruchome, a radę tę daje jej z przyczyny, zdaniem mem, wcale nierozstrzygającej, podnosi bowiem, jako moment ważny to, że, wrzekomo, łuski, o spłonce na kowadełku ruchomem, najłatwiej dają się przerabiać po ich pierwszem użyciu, w stanie nowym. Sądzę, że ta kwestja, czy łuska do naboju śrutowego po pierwszem wystrzeleniu, da się łatwiej, czy trudniej przerobić, lub czy się wogóle da przerobić, jest ostatnią, o której przy rozważaniu dobroci łuski, mówić warto. Myśliwym, oddającym w sezonie 100 lub 200 strzałów, nie zrobi wielkiej ujmy, skoro tych kilkaset strzałów oddadzą łuskami nowemi, dającemi bądź co bądź, największą gwarancję, że strzał w chwili spotkania nie zawiedzie, szczęśliwi zaś losu wybrańcy, którzy mają sposobność oddawać po kilka tysięcy strzałów w sezonie, należąc zwykle do klas zamożniejszych, ani myślą o przerabianiu łusek po ich pierwszem i ostatniem użyciu.

Przerabianie łusek praktykowałem przed kilkunastu laty, kiedy dziennie oddawałem 80 do 100 strzałów do... przepiórek, bo tam było mi zupełnie obojętne, czy nabój zawiódł, skoro w miejsce puszczonej w ten sposób przepiórki, miałem o kilka lub kilkadziesiąt kroków dalej inną. Nie używałem i nie używam łusek przerabianych już nawet przy kszykach, boć nie po to brodzi się mozolnie po bagnie, by do licznych innych sposobności nieściągnięcia,

lub stracenia kszyka, dodawać jeszcze i możliwość procentów niespaleń przerobionych łusek.

Sądzę dalej, że przerabianie łusek jest robotą niewdzięczną, bo, pomijając, że przerobiony nabój wygląda zawsze niesmacznie, bo „brudno i zmięto“, nabój taki wskutek zdekalibrowania, wchodzi do komory często tylko opornie, w następstwie czego broń się rozluźnia w zamknięciu przy częstszem używaniu łusek przerabianych, a jest to wszak szkopuł, który podniósł także pan Naborowski, konstatując, że łuski „Pocisku“, nie są jeszcze dokładnie kalibrowane. Jeżeli mimo to wszystko, o przerabianiu łusek mówimy, to jednak dziwnem wydać się musi, że pan Naborowski, przerabiając łuski, o kowadełku nieruchomem, chce używać do tego, jakiegoś „ostrego narzędzia“ i niem się mozolić, skoro do tego służą w handlach broni rozpowszechnione wszędzie wyciskacze, w formie odwrotnie ustawionych szczypiec, które spełniają obie funkcje przekabzlowania, to jest wyjęcie spalonej spłonki i nasadzenie nowej, z precyzją zaiste „lepszej sprawy godną“. Zresztą i do spłonek osadzonych na kawałku ruchomem używać można z uczuciem roboty przyjemnej niezbyt drogiego instrumentu, polegającego na zasadach dźwigni, gdy natomiast usuwanie nawet tych ostatnich spłonek „wałkiem drewnianym“, mimo wrzekomo wielkiej łatwości tego rękoczynu, nie nazwałbym robotą miłą.

Są natomiast poważne przyczyny, które nie pozwalają doradzać jedynej w Państwie istniejącej fabryce łusek, wyrabiania ich systemem ruchomego kowadełka. Istnieją prochy bezdymne, wymagające specjalnie silnego zapału, kowadełko zaś ruchome, umieszczone przed spłonką, zamykające przeto sobą wylot powstającego w spłonce wybuchu, niewątpliwie równocześnie siłę tego zapału tłumi i osłabia i dlatego, zdaje się właśnie, równocześnie z wprowadzeniem w handel prochów bezdymnych, fabryki wielkie rozpoczęły także fabrykację łusek, o spłonkach, osadzonych na kowadełku nieruchomem, nie tamującem w tym stopniu wybuchu, bo osadzonem więcej „ażurowo“, a mimo to, w łuskach dobrych marek, bardzo solidnie. Fabrykację łusek, o spłonkach na kowadełku ruchomem, można dziś śmiało uważać za przestarzałą i zarzuconą; na kontynencie trzyma się tego systemu, o ile wiem, tylko fabryka „Seller et Bellot“, a jeżeli takie łuski wyrabia i angielska fabryka Eleya, to przypisać to należy chyba znanemu konserwatyzmowi angielskiemu. Najważniejszą jednak przyczyną, dla której łuski, o kowadełku ruchomem, nie są pożądane, jest to, że łuski takie są w broni śrutowej samoczynnej, wprost niebezpieczne, a przynajmniej narażają strzelających z Browninga, lub z Winschestra, na bardzo niemiłe niespodzianki. Wskutek bowiem błyskawicznej, bo zaledwie dziesiątej części sekundy trwającej samoczynnej zmiany wystrzelonego naboju na nabój świeży, ten ostatni nabój, zaopatrzony w spłonkę, o kowadełku ruchomem, często w chwili nagłego zatrzymania się w komorze, wypala, bo kowadełko się cofa i uderza o dno spłonki, powtarza się to następnie na tej samej zasadzie, aż do zupełnego wyczerpania magazynu.

Nad sprawą tą i wymaganiami, względnie potrzebami posiadaczy broni automatycznej, nie można przechodzić do porządku dziennego, gdyż broń taka coraz bardziej się rozpowszechnia, a to nie tyle dla możności oddania 5 strzałów za porządkiem, ile dlatego, że jest to broń niedroga, a bijąca znakomicie.

Mojem zdaniem, fabryce „Pocisk“ należałoby najgoręcej doradzać, by do swych łusek stosowała spłonki „Gevelot“, oczywiście przez nią samą fabrykowane, jeżeli temu nie stoi na przeszkodzie ochrona wynalazku. Łuski te, o bardzo silnem zapale, zadowolą także chcących przerabiać wystrzelone łuski, kowadełko bowiem (nieruchome) osadzone jest w spłonkach „Gevelot“ w spłonce samej, tak, iż, zastąpiwszy spłonkę po wystrzeleniu naboju taką samą spłonką, otrzymujemy przynajmniej pod względem gwarancji wypalenia spłonki nabój zupełnie nowy. Prócz tego, jeżeli koniecznie do rekonstrukcji łusek chcemy używać tylko drewnianego wałka, to te właśnie spłonki do takiej manipulacji jeszcze najlepiej się nadają. Spłonka bowiem, długości łuski, t. zw. shortów, jest znacznie dłuższą, niż jest grubą stopka łuski, wystaje więcej z tej stopki wewnątrz łuski i może być od wewnątrz wypchaną.

Właśnie z powodu tych spłonek „Gevelot“, pozwolę sobie na małe odstąpienie od tematu. Istnieje u nas prawie powszechny zwyczaj wyrzucania wystrzelonych łusek na stanowisku w kniei lub w pochodzie, w polu; przy strzelbach samoczynnych i przy strzelbach z eżektorami jest to prawie koniecznością, bo łuska po wystrzeleniu, względnie po otwarciu strzelby, zostaje daleko odrzuconą.

Otóż każdy myśliwy musiał niejednokrotnie zauważyć, jak skrzętnie chłopcy z naganki, takie wystrzelone łuski zbierają, a czynią oni to oczywiście, przeważnie nie bezmyślnie, lub z amatorstwa do kolekcjonowania różnych łusek, ale w tym celu, aby je oddać kłusownikom.

Być może, że wewnątrz kraju jest to mniej ważne, gdyż kłusownik zawsze będzie miał dość sposobności zaopatrzyć się w łuski nowe, inaczej jest jednak na Kresach, gdzie z jednej strony kłusownictwo jest jeszcze bardziej rozwielmożnione, a z drugiej, o łuski gdzieniegdzie przecie jest trudniej. Z własnego spostrzeżenia zaobserwowałem na Wołyniu, jak taki „ochotnik“ każdą wystrzeloną łuskę umiał przerobić, ale sądzę, że właśnie łuski ze spłon-

kami „Gevelot“ sprawiły mu pewną większą trudność, gdyż po usunięciu wystrzelonej spłonki, pozostaje w stopce tylko dziura, dająca się wypełnić nową spłonką takiego samego systemu, a o te przecie trochę trudniej.

Na zakończenie muszę sprostować także mniemanie pana Naborowskiego, jakoby istniejąca we Lwowie fabryka broni „Arma“ wyrabiała przydatną dla myśliwych gentlemenów broń śrutową. Fabryka ta bowiem przerabiała tylko przez pewien czas rosyjskie Berdany i niemieckie Mauzery na broń śrutową, nadającą się chyba dla strażników łowieckich; obecnie i ta fabrykacja została zaniechaną, gdyż fabryka wszelkiemi rozporządzalnemi siłami przerabia dla armji karabiny rosyjskie na amunicję t. zw. polską, czyli mauzerowską, musi bowiem sprostać twardemu kontraktowi, zawartemu z zarządem wojskowym. *A. Sander.*

W odpowiedzi na ankietę w sprawie łusek firmy „Pocisk“, które dokładnie wypróbowałem, przesyłam następujące uwagi:

1) Tektura gilzy jest bardzo dobra, wytrzymuje 4 — 6 strzałów, nie pękając i nie deformując się;

2) Okucie trwałe, dość wysokie;

3) Strzały do celu z łusek „Pocisk“ dają takież rezultaty, jak strzały z łusek angielskich Eley'a, niemieckich „Express“, belgijskich „Russo-Belge“ i przedwojennych rosyjskich Sellier i Bellot, oraz „Eureka“ — przy jednakowych, rozumie się, ładunkach prochu i śrutu i jednakowych przybitkach;

4) Blaszka w kociołku, w którą uderza wgięcie kapiszonu przy spuszczaniu iglicy bojowej, jest w wielu gilzach zamało wysunięta, przez co masa kapiszonowa nie jest miażdżona i nie wybucha. Nieraz wypada dwa, trzy i cztery razy kłapnąć, zanim nastąpi strzał. Możnaby przypuszczać, że w tem wina fuzji, która ma albo zasłabe sprężyny, albo zakrótkie igły bojowe, lecz tak nie jest, gdyż na tę wadę łusek „Pocisk“ skarżą się posiadacze różnych broni;

5) Kapiszony są dość miękkie, od uderzenia igły bojowej wgłębiają się dostatecznie i zapalają proch „Rottweil“, bez opóźnienia.

Na zasadzie powyższych uwag wnioskuję:

a) gilzy krajowej fabryki „Pocisk“ w zupełności zastąpić u nas powinny jednostrzałowe łuski zagraniczne, o ile wada, wymieniona w p. 4, zostanie usunięta;

b) Ponieważ tektura gilz ma zalety łusek wielostrzałowych, należałoby nietrwałą blaszkę bojową zastąpić kowadełkiem, jakie posiadały gilzy Sellier i Bellot;

c) Część gilz pożądanem byłoby zastosować do kapiszonów Gevelota, jako nigdy nie zawodzących.

Jeżeli fabryka „Pocisk“ zgodzi się wyrabiać wymienione trzy rodzaje gilz, sprowadzanie łusek zagranicznych samo przez się stanie się zbędne.

Dr. Józef Żenczykowski.

Płock, dn. 11.XI. 1925 r.

WOLNA TRYBUNA.

JESZCZE W OBRONIE SPORTU.

(W odpowiedzi na artykuł p. t. „Kilka słów w sprawie sportu“ zamieszczony w Nr. 18 „Przeglądu Myśliwskiego“.

Niestety, raz jszcze muszę zabrać głos w tej sprawie na łamach „Przeglądu“. Niestety — bo byłem przekonany, że moje krótkie objektywne sprostowanie podane w Nr 16, w zupełności rzecz wyjaśniło. Tymczasem nowe wystąpienie p. Ostrowskiego zmusza mnie do ponownego wstąpienia w szranki.

Przeczytawszy w Nr. 19 „Kilka słów w sprawie sportu“, ugruntowałem się w przekonaniu, iż zwalczający gorliwie mą „niefortunną“ obronę sportu, p. O. należy do tego typu „zwolenników“ sportu, z którymi wszelka dyskusja jest zupełnie bezcelowa! Niedawne to były czasy, kiedy zastęp tego rodzaju mecenasów sportu był przerażająco liczny. Dziś jednak — chwała Ci, Boże! — zastęp ten stopniał poprostu do... niedobitków. O, sporcie! Ciebie bronić właściwie nie trzeba, ty sam zwyciężasz!

I gdyby polemika ta toczyła się prywatnie między panem O. a mną — to, wnet po wysłuchaniu poglądów autora „Kilku słów w sprawie sportu“, złożyłbym broń, spokojny, że podtrzymywanie tej dyskusji nie wzbogacę archiwów teorji sportu w nowe przyczynki, a uniknę gromadzenia w nich... makulatury.

Ponieważ jednak polemika ta toczy się publicz-

nie, w Wielkiem Kole Braci-Myśliwych, z których niejeden, nie mając może czasu na osobiste wdawanie się w teoretyczne badanie i studja sportów, uważałby z pewnością milczenie z mojej strony za równoznaczne z uznaniem słuszności wywodów pana O., muszę raz jeszcze wyjaśnić te sprawy.

Piszę: wyjaśnić, rozumiejąc pod tem chęć uchronienia Braci Myśliwych od wprowadzenia w błąd, a sport — od krzywdzących insynuacji. Dyskutować wyłącznie z p. O. nie mam zamiaru z wyżej już wspomnianego powodu, po drugie — ponieważ nie mogę się równać efektownością djalektyki z p. O. Nie rozporządzam bowiem, niestety, tak wspaniałem bogactwem stylu, tak ozdobnemi zwrotami, jak np. „chamsko-zmurzynowany", „haniebny", „ohydny", „wulgarny populus" i t. d.

Przystępuję zatem do skromnych, ale objektywnych wyjaśnień dla ogółu czytelników „Przeglądu".

Przedewszystkiem podział na sporty „szlachetne" i sporty „wulgarne, minorum gentium" (zwracam tu uwagę czytelnika na niezwykłe „uspołecznienie" niektórych obywateli naszej demokratycznej Rzeczypospolitej!) Pozwolę sobie przytoczyć tu urywek z artykułu pana M. Reszkego „Szkoła a piłka nożna" z Nr. 39 „Przeglądu Sportowego": „...wysuwany jest zarzut, że gra w piłkę (nożną) jest brutalną, gdyż odbywa się za pomocą kopnięć nogą, a więc ruchów z istoty swej brutalnych. Przez zwolenników tego poglądu widocznie wprowadzony jest podział ruchów na brutalne i szlachetne, w zależności od części ciała, przy pomocy których ruch ten wykonywamy. W ten sposób jednak dojdziemy do absurdu, gdyż ruch ręki, policzkujący kogoś, będzie szlachetnym, nie brutalnym, uderzenie psa ręką nie nazwiemy brutalnem, lecz nogą — tak".

Zasadniczą cechą sportu racjonalnego — czyli, jak chce p. O., sportu „par excellence", a ja „to" tylko zaszczycam mianem sportu — jest właśnie dżentelmeństwo względem przeciwnika, a ono zależy jedynie i wyłącznie od wychowania danego osobnika. Człowiek istotnie rycerski będzie takim zarówno w grze w piłkę nożną, czy boksie, jak i w grze w tenisa. Jeśli zaś trafi się osobnik, nie posiadający tej cechy, to od tego są odpowiednie przepisy i sędziowie, których obowiązkiem jest karcenie wszelkich objawów brutalności.

* * *

Co się tyczy wartości wychowawczej (tak!) piłki nożnej, to odsyłam p. O. do wspomnianego już artykułu w „Przeglądzie Sportowym", co się tyczy boksu, to już pisałem, że jest on doskonałem przygotowaniem do walki wręcz. Jeżeli ktoś jest np. baptystą, to oczywiście, ta zaleta boksu jest dla niego „ohydną". Niestety, szlachetna ta sekta zamało się jeszcze rozpowszechniła, żebyśmy mogli „miecze przekuć na lemiesze"!...

Podtrzymuję stanowczo twierdzenie, że sporty (a więc i piłka nożna) mogą przynosić poważne korzyści moralne. Kapitalnem jest przekonanie p. O., że: „Korzyść moralna może wypływać tylko z pracy umysłowej, duchowej, lecz nigdy fizycznej nóg i mięśni" („nogi i mięśnie", to członki odrębne, jak np. nogi i ręce?). Zaiste, takby być musiało, gdyby np. lekko-atleta podczas treningu, czy zawodów zostawiał swoją głowę, serce, duszę, wogóle swoje ja wewnętrzne razem z ubraniem w szatni. Oczywiście, wtedy „korzyść" odniosłaby tylko jego „mięśnie i nogi". Ponieważ jednak to jest podobno niepraktykowane, przeto człowiek może odnosić korzyści moralne wszędzie tam, gdzie wystawiona jest na próbę jego uczciwość, szlachetność, ambicja, silna wola — a zwłaszcza tam, gdzie te właściwości są od



Piękny rozkład gen. Macewicza.

niego wymagane bezwzględnie, jak to ma właśnie miejsce w sporcie (piszę od początku do końca o sporcie racjonalnym). Natomiast nie wyobrażam sobie zupełnie abstrakcyjnej „pracy duchowej". Śmiem wątpić, czy same pogadanki i lekcje na ten temat dałyby wyniki.... jakiekolwiek. A znowu, stosowanie przez młodzież rozmaitych ćwiczeń duchowych na wzór np. sławnych yogów hinduskich, byłoby conajmniej... trochę trudnem. Natomiast praca wyłącznie umysłowa, która wymaga jedynie wytrwałości, czy zamiłowania oraz zdolności myślenia odpowiedniemi kategorjami, a nie specjalnych zalet ducha, mogłoby doprowadzić do wyników wprost paradoksalnych. Dajmy np. człowiekowi o odpowiednich zdolnościach, ale niskich instynktach, wykształcenie inżyniera: czem on będzie? Doskonałym specjalistą w rozpruwaniu kas ognitrwałych!

Pan O. uważa, że młodzież nasza zamało czasu poświęca na naukę. I to jest zagadnienie już wielokrotnie omawiane przez specjalistów w zawo-

dzie nauczycielskim. Niechże p. O. zechce sięgnąć do odpowiednich materjałów, a znajdzie tam fachowe opinje, które go może cokolwiek zaskoczą.

Co się tyczy poruszonego przez p. O. niszczenia odzieży przez młodzież, to trzeba wiedzieć, że do uprawiania sportów przeznaczone są specjalne kostjumy, które bądź wypożycza klub swoim członkom, bądź zakupuje młodzież przeważnie za zarobione przez siebie grosze, (co bynajmniej naszym zakładom wychowawczym sławy przynieść nie może!). A choćby tak nie było — czyż dla zachowania świeżości ubrania mielibyśmy poświęcać zdrowie jego właściciela? Bo taki jest logiczny wniosek z rozumowania p. O.!

Jest rzeczą conajmniej dziwną, że p. O. jest przekonany, iż kluby sportowe są stekiem osobników z pod ciemnej gwiazdy, pisząc: „młodzież... uczy się pozatem w bardzo często niedobranych towarzystwach chamów, wzgl. żydów (sic!), manier i obyczajów wielce niepożądanych i zgubnych dla inteligentnego młodzieńca“, co ma mieć miejsce właśnie podczas zajmowania się sportem. Przecież „chamów wzgl. żydów“ inteligentny młodzieniec spotka, niestety, wszędzie, więc jeśliby wpływ domu i szkoły sięgał tylko progów domu i szkoły, to nie trzebaby szukać aż boiska sportowego, żeby zdeprawować młodzieńca inteligentnego. (Zresztą, jeśli chodzi o młodzież w wieku szkolnym, to zajmuje się ona sportem przeważnie pod okiem swoich wychowawców i nauczycieli).

Sprawa styczności z żydami jest rzeczywiście przykrą. Tak. Ale czyż np. nie posyłamy dzieci naszych do szkół, w których kształcą się i żydzi? Czyż ztego względu mamy zaniechać nauki i zostawić ją na pastwę żydom? Nasze zobowiązania międzynarodowe i nasza Konstytucja dają nam możność bojkotowania żydów tylko w ramach tych zobowiązań i tej Konstytucji. Marzenia o wszelkich innych rozstrzygnięciach są narazie przynajmniej utopją. Usuwanie się zaś od sportu dlatego, żeby nie stykać się z żydami, byłoby chowaniem głowy pod piasek. Dopuścilibyśmy w ten sposób do tego, że takie fakty, jak np. zdobycie puharu M. S. Wojsk. na ostatnich zawodach pływackich o Mistrzostwo Polski przez żydowski Klub krakowski, stałyby się regułą.

A tymczasem fakt taki — miejmy nadzieję, ostatni w historji naszego sportu — winien być dla nas tylko potężnym bodźcem do pracy i walki o zwycięstwo polskiego sportowca!

To też wszelkie głosy niechęci, które podkopują w oczach społeczeństwa polskiego znaczenie i wartość sportów, idą na rękę właśnie... żydom! Panu O. wyda się ten wniosek paradoksalnym, ale reszta Szan. Czytelników z całą pewnością stwierdzi jego słuszność, niepodlegającą dyskusji.

Co się tyczy wspomnianych przez p. O. stosunków w „dzisiejszej Ameryce i Anglji, słunnych ze swej excentryczności i grubjaństwa“, to nie mogę zabierać w tej sprawie głosu, ponieważ nie badałem ich na miejscu. Zresztą, piszę o stosunkach sportowych w Polsce i o sporcie w ogólności.

Pan O. wspomniał również w swych „Kilku słowach w sprawie sportu i o współczesnej modzie „wstrętnie wyuzdanej, podkasanej, wydekoltowanej do niemożliwych granic, haniebnej“. Otóż na ten temat nic również powiedzieć nie mogę, ponieważ nie słyszałem, że powstał nowy dział sportu pod tą nazwą. A i ogólnie nad tą sprawą haniebną dyskutować nie mogę, bo nie jestem, niestety, „arbitrem elegantiarum“.

W konkluzji — „nie taki sport czarny, jak go malują“. Ręczę, że „starożytna Hellada, Sparta i Roma“ (jeśli mnie pamięć nie myli, to Sparta była częścią składową Hellady?) nie powstydziłaby się naszych nowoczesnych Igrzysk Olimpijskich.

Aby zaś Polska istotnie „stawiła mężnie czoło ohydnym prądom silnie nam zagrażającym“ — jak chce p. O. et nos caeteri — musimy dać Jej młodzież odpowiednią. Bo: „zawsze — z kolei musimy dać młodzieży naszej umysł jasny i wykształcony, musimy jej dać mięśnie stalowe i pierś szeroką, w której bić będzie serce szlachetne i gorące.

Pierwsze — przez naukę, drugie — przez sporty!

Mens sana in corpore sano!

Czesław Jerzy Kączkowski.

